Numer powiększony Cena 1500 mk.

TRĄBA JERYCHOŃSKA

Miesięcznik poświęcony sprawom wychowania i kultury narodowej

Nr. 8	Poznań, dnia 1 maja 1923	Rok I

Rej mówi po raz ostatni.

A ujrzałem inszego Anioła mocnego zstępującego z nieba, obwleczonego obłokiem, a tęcza była około głowy jego... a miał w ręku swoich książki otworzone.... A potem ten Anioł... przysiągł przez żywiącego na wiek wiekom... iż już dalej czas nie będzie przedłużon, ale w ony czasy Anioła siódmego gdy pocznie w trąbę trąbić, iż sie już wypełnią tajemnice Boże....

Oto słuchaj sprawy Pańskiej, iż ty czasy niedługo przyść muszą, iż sie już będą pełnić tajemnice Pańskie... Jako i Piotr św. jaśnie o tym prorokował, mówiąc do nas do wszytkich: Iż wiedzcie, moi mili braciszkowie, iż w ostateczne dni przydą na świat nagrawacze prawdy, którym sie będzie szczęścieło wedle myśli ich, a będą wołać, gdzie jest on wasz Krystus albo gdzie jest ono do was oczekawanie jego, to jest obrona jego... Oto pomsta ich i tu na tym i na onym świecie tuż za piętami ich chodzi. A tak nic sie nie lękajcie żadnych strachów ani żadnych przekażek omylnego świata tego, owszem mocno stójcie w nadziejach swych przy tym Panu swoim, będąc tego iści... iż was to nigdy ominąć nie może, a iż sie to już nie długo, tak jako tu słyszycie, ma wypełnić nad wami. Amen. *(Rej. Apocalypsis).*

Los urzędnika.

Od blisko trzech lat jesteśmy urzędnikami polskimi, i od trzech lat coraz to więcej niezadowoleni. Urzędnicy jako klasa, toć to nie da się zaprzeczyć, staczają się coraz to głębiej w dół. Nie widzę żadnej nadziei na przyszłość, przeciwnie, mam wrażenie, że większość pogodziła się z swoim losem, wegetuje życiem nędzarzy, chamieje. Bez najmniejszego protestu przyjmuje się wszystkie zapomogi, pożyczki, zniżki, rabaty etc. — Dzisiaj, kiedy to już w wszystkich gałęziach życia gospodarczego zaprowadziła się bez zastrzeżeń owa anonimowa waluta złota i to z odpowiednią poprawką wzwyż, jaką spowodowały stosunki w państwach zachodnich, dziś urzędnik polski, a zwłaszcza wyższy urzędnik zadowala się dochodami, przynoszącemi ujmę godności jego stanu, budzącemi nie wiem czy śmiech, czy wściekłość. Staliśmy się quantité négligeable dla innych warstw, w najlepszym razie przedmiotem politowania. Ile razy idąc przez miasto, czytam: „Dla urzędników 10% taniej“. Dawniej czytaliśmy: „Dla żołnierzy wstęp zniżony“. Jednem słowem cała klasa urzędnicza, a zwłaszcza wyżsi, tak zhołociała, że na samą myśl o tem wszystkiem pięść kurczowo się ściska. — Organizacje urzędnicze kierowane są przez zdziecinniałe zarządy centralne. Cała ich działalność polega na gonitwie za drobiazgami. na wzajemnem paraliżowaniu się. Zazdrośnie cenzuruje jedna organizacja postulaty drugiej. A owe tak zwane „głosy urzędnika“ są świstkami, nadającemi się zaledwie do kosza.

Żadna z tych organizacyj nie zdobyła się dotychczas na celowe uświadomienie urzędnika, na wykazanie źródła zła, na protest śmiały przeciwko tej brutalnej krzywdzie, jaka się nam od trzech lat dzieje. Bogacą się niesłychanie żydzi, mniejsi i więksi chrześcijańscy paskarze, kupcy, rolnicy, rzemieślnicy etc. ich stać na wszelki zbytek, wzamian za stosunkowo mały wysiłek twórczy, a ta klasa, która jest grzbietem całego życia polityczno-gospodarczego, która dobrobyt społeczeństwu właściwie umożliwia, która przedstawia bezpośredni przejaw życia państwowego, wogóle klasa ta już dogorywa materjalnie, upadając bezpośrednio na duchu i co gorsza na honorze.

Urzędnik zbiedzony tak przywykł do swego marnego położenia, że nawet już nie śmie żądać sprawiedliwości. Zamiast żądać tego, co mu się słusznie należy, żebrze o chleb powszedni. Sytuacja jest krótko ta: Polacy, jako obywatele, spełniali swoje obowiązki względem państw zaborczych. nie spełniają ich natomiast względem państwa własnego. Dla tego obywatel coraz zamożniejszy, a skarb państwa pusty i urzędnik nędzarz.

Albo państwo weźmie wreszcie swych obywateli za łeb, albo nadal obywatele i ich reprezentacja, sejm, trząść niem i nami będą i zniszczą państwo i nas prędzej lub później.

* * *

Kij a dusza.

III.

Średniowiecze i nowsze czasy.

(Spiritus, ubi vult, flat. — Omnia iuxta methodum naturae).

Na dwa zasadniczo przeciwne obozy dzielą się średniowieczne poglądy na wychowanie, a w szczególności na karność. Obok kościelnego pojęcia skażonej natury ludzkiej z nakazem bezwzględnej walki z namiętnościami, powstają i rozwijają się, wpierw zwolna i nieznacznie, ala coraz to intensywniej, nowe prądy, głoszące wyzwolenie jednostki z wszelakich krępujących ją węzłów.

Wychowanie klasztorne, opierające się na wiecznych prawdach przekazanej przez dziadów i pradziadów wiary, łatwym sposobem docierało do duszy młodzieńca i rzeźbiło jego charakter, wyciskając swoje piętno na jednostkach i społeczeństwach. Charaktery były jednolite, świadome swoich celów, oparte o bezwzględne prawdy i zasady: stąd czerpały swoją siłę i wiarę. Odrębne dążności jednostki nie znajdowały zrozumienia. a mniej jeszcze poparcia. Wychowanie więc ze względu na wytknięty cel starało się poskromić wolę i wpoić cnotę pokory. Kary cielesne były częste. Atoli wobec faktu, że kult indywidualizmu był nieznany, że wszystko podporządkowywano ostatecznym celom człowieka i ludzkości, dalej, że kościół i społeczeństwo bezwzględnie żądały od jednostki świadczeń w dziedzinie duchowej i doczesnej, odczuwano kary mniej boleśnie, i osobiste doświadczenia, niekiedy nawet przykre, zwykle nie zrywały serdecznych węzłów, łączących wychowawcę z wychowankiem. Patrjarchalne stosunki umożliwiały to, co w naszych czasach byłoby ni mniej ni więcej jak zbrodnią przeciwko majestatowi dziecka. Pedagogja taka, pomijając upomnienia Nowego Testamentu, opierała postępowanie swoje na licznych nakazach Starego Zakonu, wcale nie łagodnej treści. I tak głoszono: Kto rózgi oszczędza, ten nienawidzi syna swego, ale kto go kocha, ten go rychło karze (Sal. 13, 24). Kto miłuje karność, miłuje umiejętność; ale kto nienawidzi strofowania, głupi jest (XII, 1). Głupstwo przywiązane jest do serca dziecięcego, ale rózga karania wypędzi je (XXII, 15). Nie odejmuj od dziecięcia karności, bo jeśli je obijesz rózgą, nie umrze. Ty go obijesz rózgą, a duszę jego z piekła wybawisz (XXIII, 13). Kto miłuje syna swego, ustawicznie go biczem wzbiera, aby się cieszył na swym ostatku, a nie macał (żebrząc) drzwi sąsiedzkich (EKKl XXX, 1). Kara cielesna była w ogólnem użyciu. U jezuitów wymierzał ją t. zw. corrector, jak o tem głosi „Ratio Studiorum et Institutiones Scholasticae Societatis.“

Najpierw nieśmiało, ale coraz to poważniej podnosiły się skądinąd głosy, stające w obronie praw jednostki. Odtąd indywidualizm staje się dźwignią, ale i zgubą dla jednostek i ludów. Coraz gwałtowniej biją jego fale o wały, chroniące

jednostkę mocnem spoidłem społecznych i etyczno-religijnych ograniczeń i uprawnień. Indywidualizm w ostatecznych swoich konsekwencjach oznacza bunt przeciwko wszelakiego rodzaju pętom, krępującym prawo samookreślenia jednostki. Co gorsza, pomieszanie indywidualizmu i osobowości pociąga za sobę fatalne skutki: podczas gdy osobowość stara się uzgodnić prawa społeczeństwa z uprawnieniami jednostki, łącząc prawa i obowiązki w harmonijną całość, poddawając swoje postępowanie i wszelkie poczynania prawom i rozumowi, poskramiając złe popędy i zmysły i oddając wolę na usługę ostatecznych celów, to indywidualizm dąży do wyzwolenia jednostki z pod wpływu jakiegokolwiek ograniczenia, w dalszej konsekwencji prowadzi do panowania namiętności nad jednostką, do nieuleczalnej słabości woli, do zaniku osobistego charakteru. Indywidualizm, jak go pojmuje Rousseau, jest to ostatecznie nihilizm serca i umysłu.

Jak każdy twór nosi w zarodku przyczyny swojej śmierci, wywodząc je z prawa biegunowości, tak i pedagogja klasztorna musiała wywołać opozycję. Pierwsze jednak poczynania tego rodzaju, jak wogóle cały ruch odrodzenia, ściśle nawiązują do starożytności.

Przeważna część humanistów potępia, podobnie jak Plutarch i Kwintyljan, metody bicia. Do nich należy Vergerius, który sprzeciwia się jednak tylko zbytniej srogości. Natomiast Maffeo Vegio pod wpływem Kwintyljana wyraża się, że servisea, non liberis hominibus conveniunt. Podobne zapatrywania głoszą Francesco Filelfo, Enea Silvio, Battista Guarino. Erasmus nawet ostro potępia kary cielesne i gwałtownie występuje przeciw nauczycielom, którzy biciem upokarzają dziecko (Declamatio de pueris ad virtutem ac literas liberaliter instituendis). Na równi z Kwintyljanem i Vegiusem zaleca, aby pochwała i poczucie honoru stały się pobudką do dobrego. To zapatrywanie podziela także Melanchthon (Declamatio de miseriis paedagogorum), uważa jednak kary cielesne za zło konieczne, ich wymierzanie pracą godną kata, męczarnią dla nauczycieli wśród innych męczarni. Wybitny pedagog Sturm, podzielając zapatrywanie Erazma, że poczucie honoru powinno większą rolę odgrywać w ręku pedagoga, aniżeli samo bicie, gani namiętność i dzikość wychowawcy, ze względu jednak na ludzką skłonność do zła przyznaje, że jedynie ból udoskonala duszę, że dusza odczuwać potrafi ból w większej mierze od ciała: więc gotów w niższych klasach uznać prawo kar cielesnych, w wyższych wolałby, aby poczucie honoru i godności przeważało.

Wyzwolenie jednostki, rzeczywiste czy pozorne, coraz szersze zatacza kręgi. Poczucie wolności, jako wrodzonego człowiekowi prawa, miało ten skutek, że coraz bardziej zastanawiano się nad poczynaniami ludzkiemi, ich doniosłością, ich uprawnieniem, innemi słowy, coraz bardziej człowiek

mierzył zgodność swojego postępowania z wymaganiami natury i rozumu. W tym kotle sprzecznych zdań przeciwstawiano naturę prawu, rozum zwyczajowi, osobiste sumienie opinji ogółu. Najgorzej na tem wychodziły tradycje i zwyczaj, same bowiem w sobie miały dostateczne powody potępienia.

Michel de Montaigne, jako pierwszy, zgłasza swoją formułkę, zresztą zapożyczoną u Seneki i Plutarcha, o koniecznej zgodności postulatów wychowawczych z nakazami natury. Potępia na równi z humanistami średniowieczny rygor, zalecając od siebie łączenie srogości z łagodnością (sévère douceur). Świadomym pionierem naturalnej pedagogiki stał się Ratke: omnia iuxta methodum naturae. To, co jest zgodne z naturą, zgodne jest także z rozumem. Metoda wychowawcza zbliża się coraz bardziej do nowych, a jednak tak starych idei: homo res sacra homini (Seneca). Odtąd cały wysiłek jest skierowany na to, aby prawom ludzkim i w wychowaniu stało się zadość. Wykluczony jest przymus. Nie wolno bić młodzieży gwoli nauki. Podobne zapatrywania wygłasza Comenius: wychowanie dzieci powinno się odbywać bez bicia, bez srogości, bez jakiegokolwiek przymusu, w sposób lekki i łagodny i prawie samo przez się.

Od Montaigne'a i Locke'go rozpoczyna Rousseau. — Główną zasadą jego systemu wychowawczego jest pełne uznanie młodej osobowości i zapewnienie jej także w obrębie świata kultury samoistnego rozwoju naturalnego. Odtąd w kształtowaniu woli dziecięcej ustaje stary system, ustępując miejsca nowemu. Kar cielesnych poza wyjątkowemi wypadkami nie uznaje się; Rousseau stosuje jedynie karę naturalną t. j. wynikającą z samego przewinienia ucznia.

Kierunek ten, jak widać, biegunowo się różni od średniowiecznego. Dalsze posunięcia na drodze ustępstw uczynili t. zw. filantropiści. Ucznia uważano i traktowano na równi z człowiekiem dorosłym. Karność opierano na autorytecie wychowawcy jedynie do dwunastego roku życia, poczem uczeń miał prawo wypowiadać swoje zdanie, mógł oponować, żądać wyjaśnień i kary nie przyjmować. Poczucie honoru pielęgnowano i hodowano systematycznie. Nauczyciel miał być jedynie starszym i doświadczeńszym przyjacielem młodzieży. Wychowanie, mówiono, ma się odbywać bez stosowania przymusowych środków, nauka zaś bez trudu i zniechęcenia. Istniały w celu rozweselania uczniów specjalne metody, tak np. podczas godziny nauki języków uczniowie na komendę wykonywali rozmaite ćwiczenia gimnastyczne, albo dla zachęty rozdawano nagrody. W końcu jednak pomimo wielu słusznych założeń samo stosowania tych metod w ostateczności doprowadziło do przeobrażenia szkoły na miejsce zabaw, do nieporządków, rozluźnienie karności do tego stopnia, że dla uratowania ostatecznych celów wychowawczych stało się zupełne zaniechanie i poświęcenie pierwotnych, aczkolwiek pod niejednym względem słusznych zasad, rzeczą niezbędną.

IV.

Karność w Polsce.

Qualibus pubem sibi format ipsa
Moribus, tales habitura res est
Publica cives.

St. Konarski Ode II.

W Polsce myśl pedagogiczna szła śladem Europy zachodniej. Szkoła i wychowanie prawie wyłącznie leżały w rękach kleru.

Rozmaity był stan karności szkolnej na obszarze dawnej Polski, ale nigdzie nie był tak niski, jak w Akademji Krakowskiej. Niejednokrotnie o tem wspomina Łukaszewicz. Akademja „w młodzież swoją nie wlewała miłości porządku i pokoju" (l. c. 59), pozatem słynęła z swawoli uczniów. Ciekawe pod tym względem są uwagi, jakie Sebastjan Petrycy (Łuk. I 60) podaje, mówiąc o swawoli uczniow akademji: „Skarżą się na Akademję Krakowską, że nie może w powinnościach swoich utrzymać studentów, a nie widzą, co się w tem dzieje: posyłają do akademji ojcowie zuchwałe dzieci, które czasem ojców nie słuchają, a cóż mają praeceptorów słuchać? Ojciec swejwoli dopuści synowi doma, szablę do boku przypnie, da syn słudze w gębę, choć jej nie dosięgnie, pochwalą mu to, czysty, mówią, będzie chłop. Tejże swejwoli trzyma się w akademji, chcąc być czystym chłopem. Do tego wolność ślachecka pełna jest swej woli, do niej gdy przystąpi wolność studencka, będzie większa wolność. Rzeczesz: czemuż u Jezuitów niemasz swejwoli w studenciech? Na to mówię, iż się znajduje czasem; jednak różna jest akademja krakowska od kollegium ojców Jezuitów. Bo w akademji virtutis amore z swej dobrej woli mają się studenci uczyć cnoty swojej, iż im to pożyteczno na później będzie. U Jezuitów uczą się formidine poenae dla bojaźni, dla karania, które jest niewolniczych animuszów".

Niezbyt to szczęśliwa obrona niesforności uczniowskiej. Wówczas nie umiano, czy nie chciano jej poskromić, dzisiaj niewiele inaczej się dzieje. Przypominam wypadek, który się zdarzył w Krakowie, gdzie uczniowie zagrozili w liście do dyrekcji zdemolowaniem ubikacji, o ile nie zostaną usunięci niewygodni im profesorowie, i drugi fakt, który się zdarzył w Nowem Mieście, gdzie uczniowie wybili dyrektorowi w mieszkaniu szyby i nocą nastawili po gankach sidła dlatego tylko, że dyrektor miał odwagę zabronić im uczęszczania do teatru. Co będzie z takiej młodzieży, gdy dorośnie, jakie warcholstwo, jaki ciężar dla ojczyzny? Ale słabość w wychowaniu młodzieży jest niepowetowaną krzywdą dla niej samej. A jednak polityka pobłażliwości wobec młodzieży, ustępowania jej na każdym kroku, na wczesnem zaprawianiu jej do arkanów życia przez kina, teatry, bale ma licznych, a upartych zwolenników, na szczęście nie między Wielkopolanami. Ci bowiem wiedzą

i zdają sobie sprawę z tego, że przedwszesne dojrzewanie młodzieży jest tylko fikcyjnym dorobkiem i odbywa się jedynie na koszt zdrowia moralnego i cielesnego młodzieży, że zadaniem młodzieży może być jedynie wolne, ale zdrowe dojrzewanie do obowiązków, jakich społeczeństwo i ojczyzna po niej się spodziewa. Albowiem takie będzie państwo, jakie jest wychowanie młodzieży: karna i świadoma swoich zadań młodzież zaprowadzi porządek, uczci władzę, gdyż od młodu się tego uczyła, podporządkuje się, bo wie, że na podporządkowywaniu się polega potęga i rozkwit ojczyzny, a nie na warcholeniu, a nie na wyuzdaniu i indywidualizmie.

Na powyższą apologję niesfornych uczniów Akademji Krakowskiej trzeba było odpowiedzieć, jak odpowiada Łukaszewicz w swej notatce. „Trzeba było w umysł młodzieży wpajać, że ten, który bliźniego w twarz uderza, nie jest czystym chłopem, ale człowiekiem nieoświeconym, wzgardy godnym“. Fakty doszły do tego stopnia, że częstokroć życie profesorów było zagrożone (przytaczam zdarzenie z Faustynem Socynem), co gorsza, profesorowie pomimo t. zw. obowiązku koleżeństwa i prostego taktu (o których to zaletach wartoby osobny artykuł napisać, gdyż starczyłoby w zupełności faktów z samej Wielkopolski) stanęli po stronie młodzieży: sic nonnullos eiusdem ordinis, id est academiae Cracoviensis professores inveniri, qui nihil dissimulant, se haud mediocriter laetari, quod ita male mecum actum fuerit, vosque graviter accusant, qui furiosae ac crudelis illius multitudinis in me saeviendi libidinem exsatiari non permisistis[1]) (Łuk. F. Socinii ad amicos Epistolae). Chwalę sobie za to fakt, który się zdarzył w jednem z gimnazjów poznańskich. Pewien uczeń został na lekcji uderzony przez profesora. Wychodzi z ławki, zbliża się do katedry i wśród grobowego milczenia klasy mówi: „Panie profesorze, dziękuję za karę, zasłużyłem na nią. Proszę o przebaczenie“! Był to Poznańczyk. Mój kochany ty mały bohaterze, pocałować cię był powinien profesor za tak godny czyn, za ducha karności, za przezwyciężenie krnąbrności i warchoła, jaki tkwi na dnie duszy każdego Polaka. Takich, jak ty, Polaków nam trzeba: wszystko oddających ojczyźnie, swoją dumę, całe swoje istnienie. Niestety, czasy się zmieniły, ale nie stan rzeczy z czasów Akademji Krakowskiej. Te same metody, co i wówczas, wykoszlawiają i gubią dzisiaj młodzież polską, niczegośmy się nie nauczyli. Nie boski genjusz Polski, nie święte tchnienie Komisji Edukacyjnej, ale Kraków i Galicja, od Rzeszowa do Giermakówki, nami rządzą!

---

[1]) Są wśród profesorów Ak. Krak. tacy, którzy niedwuznacznie się cieszą, że mnie się oberwało i którzy was oskarżają, żeście nie pozwolili, aby dziki i okrutny tłum nasycił swą żądzę pastwienia się nade mną.

Aby jednakże uprzytomnić sobie ducha, jaki panował w szkołach, warto przytoczyć niektóre przykłady karności z życia szkolnego w dawnej Polsce. U jezuitów ucznia, przestępującego po raz pierwszy prawa szkolne, zalecał statut nauczycielowi łagodnie na drogę obowiązków po ojcowsku naprowadzać; następne zaś przewinienia surowo karać plagami, karcerem i t. p., a niepoprawionego żadnemi karami na zawsze ze szkół jezuickich oddalać, a przytem przestrzegać wszystkie kolegia i szkoły w prowincji, aby go nie przyjmowały. (Łuk. I. 266.) Zresztą do jakich granic swawola uczniów dochodziła, Łukaszewicz na tem samem miejscu barwnie opisuje „Uczeń jezuicki nawykłszy w szkołach do bezpraw wszelkiego rodzaju, powtarzał je później na sejmikach, sejmach, trybunałach, zjazdach, w życiu publicznem i domowem". (Łuk. ib.) Co do szkół pijarskich mówi Łukaszewicz: „Taki sam panował w nich smak skażony, tak samo marnowano w nich czas na dyalogach, oracjach, deklamacjach scenicznych, powinszowaniach, sejmikach szkolnych, dysputach, perorach i t. d. i t. d". Zupełnie nasze czasy!

Karność natomiast w szkołach pijarskich była dosyć dobra i przestępstwa karano plagami lub aresztem (Łuk. I. 298), za znaczne oddalano ze szkół. Nie umiejący lekcji, zwykle karani byli klęczeniem na środku klasy. „Przesadzone lenistwo" karane było plagami. Punkt honoru atoli wielką odgrywał rolę w wychowaniu pijarskiem. Podobne stosunki panowały w gimnazjum toruńskim, więc i te same kary: „Uczeń, który fałszywą skargę na nauczyciela do rodziców, albo też opiekunów, krewnych, albo przyjaciół zaniesie, ponieważ skłamał i ponieważ okazał się niewdzięcznym, a swoich kłamstwem zasmucił, osieczony będzie rózgami, albo wsadzonym do kozy; jeśli się zaś nie poprawi, wypędzonym będzie ze szkoły." Karność w korpusie kadetów była na ogół łagodną i lżejsze uchybienie karano u starszych kadetów płazem szpady, u młodszych rózgą. Wszakże rzadko bardzo uciekano się do kar, starano się natomiast wpajać szlachetną ambicję. Nawet Komisja Edukacyjna, która jest chyba wyrazicielką polskiego czucia i ducha, nadzwyczaj przestrzegała karność, nie cofając się nawet przed stosowaniem kar cielesnych. Ale jaka tam też rozwaga, ile serdecznego i umiejętnego rozpatrywania problemu tak ważnego dla wychowawstwa!

1. „Posłuszeństwo mieć będzie (profesor) od uczniów, kiedy zjedna sobie ich miłość i uszanowanie; bo jak dorośli ludzie, tak i dzieci, tego chętniej i lepiej słuchają, kogo kochają i poważają".

1. „Nierozumiej, że sobie zjednasz posłuszeństwo, kiedy ustawicznie fukać będziesz dziecię, kiedy hardo a nie z łagodnością rozkazywać. Pogłaskane, pochwalone dziecko, uprzedzać jeszcze będzie rozkazy twoje." — A dalej:

„Łagodne po ojcowsku upominania, przestrogi i rady iść powinny przed strofowaniem, dopieroż przed karami". „Jeśli

przestępstwo jego jest umyślnie powtórzone, jeśli psujące drugich w mniejszej wagi rzeczach, tedy użyć strofowania surowszego". Co do kar, takie czytamy uwagi: „Nic niemasz w wychowaniu, w zawiadowaniu dziećmi trudniejszego, jako dobrze sobie postępować w karaniu ich przestępstwa. Nie należy zbytniem pobłażaniem psuć dzieci. Są występki, jakoto uporu umyślnego, dobrowolnego i łatwego kłamania, zaciętego opuszczania się względem nauki potrzebnych rzeczy, które bez kary uchodzić nie powinny". ‚Nigdy nie powinien nauczyciel przystępować do kary cielesnej, to jest do chłosty i plag, chybaby wszystkie inne nie powiodły się wcale, chybaby krnąbrność rozmyślna, albo niepoprawiona łatwość kłamania, zgorszenia znaczne drugich, taką karę potrzebną czyniło". W innem miejscu takie uwagi czytamy: „Nauczycielowi wolno tylko karać ucznia za opuszczenie się w pilności, zaniedbanie lekcji i wypracowania, opuszczanie szkoły, nieuwagę i złe sprawowanie się w klasie". Uczniom grozi się: „Gdyby zaś bez przyczyny i z krnąbrności tylko wytaczanie skarg swoich czynili, publicznym i surowym karom podpadną". Dyrektorom zaleca się wpajać w serce ucznia punkt honoru. Obejście się z dziećmi powinno być pełne „łagodności, sprawiedliwości, roztropności, grzeczności i przywiązania. A zatem dalekiemi być powinni od fukania, popędliwości, złości y zemsty, używania słów zelżywych, przezwisk, przekleństw, katowania y morderstwa" Ale nie wyklucza to kar: „naprzód przestrzegać i napominać; powtóre oświecać, nauczać i perswadować; po trzecie, odprowadzać i wstrzymywać od złych okazji; po czwarte, grozić doniesieniem do starszych; po piąte, gdyby to nie pomogło, donieść dzieci do Prefekta; po szóste, donieść do rodziców; po siódme, nakoniec, ukarać plagami". Rozdział kar wyszczególnia postępowanie ze strony nauczycieli (n i e m a m o w y o p r o t o k o ł a c h s p i s y w a n y c h p r z e z u c z n i ó w) w stosunku do uczniów: mniejsze przewinienia, niedbalstwo, opuszczanie lekcji lub szkoły, niepilność w słuchaniu, lekkomyślność, mała obraza drugiego, pociągają za sobą napomnienie prywatne, powtórne publiczne strofowanie, karę klęczenia w szkole, przepraszanie urażonego.

Niepoprawność lub zgorszenie współuczniów pociągało za sobą karę publicznego zawstydzenia na korytarzu szkolnym, dalsze zaś trwanie w tych przestępstwach karane było plagami, po dalszej jeszcze niepoprawie następowało wydalenie. Kradzież, pijaństwo, nieposłuszeństwo władzy, zelżenie nauczyciela, rozpusta i wszczynanie buntu za pierwszym razem karane było plagami, za drugim wypędzeniem ze szkoły",

Święta mądrość Komisji, co to opierając gmach wychowania młodego pokolenia na wielkiej i wprost nieograniczonej miłości, jednak nie zawahała się stosować najsroższych kar przeciw gorszycielom, niepoprawnym, wszystkim tym, coby się kiedyś mogli stać niegodnymi synami matki ojczyzny. Albowiem b i a d a s z k o l e, w k t ó r e j p a n u j e w s z e c h-

władnie kij, ale biada i tej, gdzie go pod żadnym warunkiem nie wolno użyć, gdzie przeciwnie zwierzchność gotowa wsunąć go do rąk młodzieży. Oj, wiedziała Komisja Edukacyjna. co to jest takt! C. d. n. Pusinas.

„Bezimienność“ i dobro publiczne.

T. N. S. W. „uznaje ogłaszane w „Trąbie Jerychońskiej“ zarzuty przeciw kolegom z Małopolski za bezpodstawne, a bezimiennych autorów za ludzi napastujących z ukrycia“. — Rzecz to oczywiście sumienia i wygody, że się zarzuty uważa za „bezpodstawne“; może też to być dogodny okop, za który się można schować. Nie o tem jednak warto tu pomówić, a raczej o tej „bezimienności autorów“. Jest to bowiem rzecz nader ciekawa, że b. Galicja, która słynęła z serwilizmu w całem znaczeniu tego wyrazu, w tych właśnie wypadkach, w których chodziło o wytykanie win czy uchybień władzy, domagała się stale odwagi cywilnej. Tego rodzaju zdania słyszy się też niekiedy i tu w Poznaniu z ust wychowanków b. szkoły galicyjskiej. Dlatego tę rzecz należy wyjaśnić publiczności, aby nie dała się wziąć na kawał bohaterskim słowom, stosowanym do drugich.

O co tu mianowicie chodzi? O to, aby wiedzieć, kto jest tym, co wytyka niewłaściwości. Skoro bowiem się wie, kto to jest, to już pół biedy: można go unieszkodliwić, na tysiączne sposoby. Naprzód można go napomnieć, zagrozić, przygnieść władzą w jakiśkolwiek sposób, w najgorszym razie zemścić się.. Jednakże bywają jeszcze lepsze sposoby — mianowicie na zasadzie t. zw. krakowskiego targu w myśl budujących sentencyj „ręka rękę myje — noga nogę wspiera“ i t. d. Wszystko to było, a może i jest jeszcze z zamiłowaniem praktykowane w b. Galicji... Więc naprzód co do władzy, to były setki i tysiące przykładów, jak to jedni, częstokroć bardzo zdolni i pracowici czekali i po 10 lat i dłużej na t. zw. stałe posady, podczas gdy drudzy, niejednokrotnie próżniacy i osły, dostawali je po roku, po pół roku, a nawet i po krótszej praktyce... Dlaczegoż to?... Poza wypadkami t. zw. „protegi“, zachodziło to wtedy, gdy się ktoś zdołał czemś „władzy“ narazić... choćby tylko przez to, że w pewnych kwestjach ośmielił się mieć własne zdanie, albo wyraził się tu i owdzie o jakimś kacyku (z c. k. Rady Szkolnej Krajowej) ujemnie itd. Znam wypadek, gdy — co prawda w czasie zachwiania administracyjnego z końcem wojny — najbliższym pomocnikiem prezydenta Rady Szkolnej Krajowej był młodzieniec dwudziestokilkoletni, który nigdy nie pracował w szkole, choć pod ręką byli osiwiali, pracownicy w szkolnictwie średniem! Dziś np. kuratorem okręgu krakowskiego jest P. (z Jajków) Owiński, chociaż napewno jest szereg lepszych pra-

cowników od niego, ale on — witosowiec. Innym środkiem presji było przenoszenie z miejsca na miejsce. Tak np. nauczyciel gimnazjalny, pracujący w Krakowie, mógł się nagle znaleźć ni stąd ni zowąd, gdzieś w Gura Humora (na granicy Bukowiny) „z powodów służbowych“, istotnie zaś — tylko i jedynie dlatego, że się w jakiś sposób naraził „władzy“ bez względu na to. że czasem to zmarnowało jego pracę naukową... Na jego miejsce zaś szedł niejednokrotnie osobnik, który pragnął siedzieć w Krakowie po to, aby wysiadywać po różnych żydowskich norach lub „Variété-ach“.

Przecież ś. p. Bonawentura Graszyński był trzymany w Kołomyi dziesiątki lat, choć we Lwowie lub Krakowie, (t. j.) w dwóch miastach uniwersyteckich — rozpierali się różne protegowane brukotłuki, co ani razu w roku nie zaglądali do bibljoteki. — Łagodniejsze, ale częstokroć bardzo bolesne środki presji, stanowiły t. zw. godziny nadliczbowe, umiejętne a przez to częstokroć nader dokuczliwe rozmieszczanie lekcyj, dyżurów. klas etc. Tak np. ktoś, co właśnie potrzebował jak najwięcej godzin nauki, czy to ze względów zarobkowych, czy też dla praktyki, wliczalnej przy kwalifikowaniu do posad t. zw. stałych (etatowych), mógł ich właśnie nie dostać, bo dyrektor, czy też ktoś inny chciał mu pokazać swoje niezadowolenie...

Wszystkie powyższe środki były celowe i niejednego przyciśniętego do muru skłaniały nietylko do tego, że zaprzestawał krytyki i wytykania uchybień władzy, ale co gorsza, stawał się jej obrońcą, nawet czasem pochlebcą, a wzamian za to szły odrazu częstokroć różne awanse etc.

Niekiedy się trafiały charaktery twardsze, które tak łatwo nie ustępowały, aczkolwiek o bohaterstwie trudno było u nich mówić. Takie jednostki, nie wytrzymując podobnych stosunków, rozstawały się ze szkolnictwem i szły przeważnie do radykalnej publicystyki albo agitacji politycznej, kumając się z najrozmaitszemi odłamami socjalistów albo ludowców różnego autoramentu. Byłoby rzeczą ciekawą zbadać, ile to wybitniejszych działaczy albo agitatorów radykalnych wyszło z pośród niedoszłych nauczycieli gimnazjalnych. Byłym np. nauczycielem gimnazjalnym jest p. Marjan Dąbrowski, redaktor „Kurjera Codziennego“. — ludowiec obecnie, wielu podobno „Wyzwoleniowców“ też robiło pierwotnie swoją karjerę w b. szkolnictwie galicyjskiem. Powodem tego w wielu wypadkach były właśnie niesprawiedliwości władzy przełożonej, nietylko krępującej zbytecznie, ale częstokroć paczącej dobrą wolę i chęci szczerego, aczkolwiek niemającego poparcia pracownika. Ten wreszcie widząc. że dobrą wolą i szczerą pracą do niczego dojść nie może — rzucał ją, rozruchwalał się, stając się wrogiem rządzącej partji, z którą niejednokrotnie błędnie utożsamiał wogóle wszelki rząd i ład społeczny, wzmacniając szeregi niezdrowego radykalizmu. U takich jednostek było bardzo wiele powodów osobistych do nienawiści wzglę-

dem t. zw. „stańczyków“, którem to mianem zwano rządzące stronnictwo galicyjskie. Te osobiste powody tłumaczą zaciekłą niechęć, a nawet nienawiść do różnych b. galicyjskich konserwatystów. Ta nienawiść tłumaczy dziwne naogół zjawisko, że t. zw. „stańczycy“ z kretesem znikli z powierzchni życia politycznego w b. Galicji i obecnie nie odgrywają żadnej roli. Ich matadory powynosili się nawet z b. Galicji.

Bardzo pouczającemi przykładami tych b. stosunków galicyjskich jest — Stapiński i X. Stojałowski, obaj więzieni przez „stańczyków“ i prześladowani, obaj dobili się stanowisk politycznych w radykalnej walce z nimi, obaj wreszcie byli kokietowani przez nich, a Stapiński nawet wprost kupowany. Owocami tego „systemu“ partji rządowej w b. Galicji jest niepotrzebne zradykalizowanie b. Galicji, rozzuchwalenie elementów niezrównoważonych i wskazanie drogi do stanowisk zapomocą właśnie zuchwalstwa i radykalizmu. Takie bowiem wyniki społeczno-wychowawcze otrzymywało się, gdy się tym sławetnym „systemem“ rządzenia uniemożliwiało karjerę normalną, paktując jednak i starając się pozyskać tych samych ludzi z chwilą, gdy ktoś się z nich „wybił“ radykalizmem i zuchwalstwem.

Inny rodzaj demoralizacji szerzył się na podstawie zasady „ręka rękę myje — noga nogę wspiera“ czyli t. zw. krakowskiego targu... kto mianowicie, broniąc pewnej zasady, mógł zaszkodzić albo przynajmniej zrobić „nieprzyjemności“, spotykał się z ofertami, które zapomocą korzyści osobistych — np. awansu, zwiększenia liczby godzin, nielegalnych urlopów etc., starały się mu zamknąć usta... On starał się nie widzieć różnych nieprawidłowości, wzamian za co korzystał zaraz z nieprawidłowości innych... Prowadziło to w prostej linji do wzajemnego śledzenia się i wzajemnego robienia sobie psot: ty mnie to, ja tobie tamto...

Ty mnie na złość, ja tobie, ty będziesz milczał — ja ci tę, a tę dogodność zrobię... Te wzajemne figle prowadziły nieraz bardzo daleko. Na tem tle powstał pewien brak wrażliwości moralnej a nawet pewien bezwstyd... Ludzie postępujący niewłaściwie, częstokroć się z tem wcale nie kryli przed innymi, z podniesionem czołem zwracali się do nich, dając do zrozumienia, że będą patrzeć przez palce, jeśliby oni tak samo postępowali w innych sprawach, szukając własnych korzyści. Prowadziło to do niesłychanego zabagnienia administracji, a nietylko administracji i szkolnictwa średniego, sięgało to i wyżej... To też sprawy wszelkie, a nawet interesy kraju były nadzwyczaj zależne od stosunków osobistych, wzajemnych intryg, widoków prywatnych, rodzinnych etc. To dziedzictwo byli Galicjanie wnoszą w dużej mierze do całej administracyjnej machiny odrodzonej Polski, wnoszą je do szkolnictwa i do wszystkiego, czego się tykają.

Jest to groźny rak, z którym trzeba się stanowczo rozprawić i którego do świeżo powstającego organizmu odrodzonej

Polski nie można i nie należy dopuścić. Nie wiem, jak się rzeczy mają obecnie np. tu w Poznańskiem (mniej więcej tak samo. Przyp. Red.), o ile na terenie tutejszym b. Galicjanie występują i czy np. kuratorjum szkolne prowadzi podobną politykę, jak to wyżej scharakteryzowałem. Sądzę, że raczej nie, jednak tego nie wiem. Najlepszem lekarstwem na to jest ścisła objektywność: chcąc, aby się nie chowano za pseudonimy, kuratorjum szkolne powinno bezwzględnie zrzec się represyj, nieopartych na ściśle legalnych i dyscyplinarnych podstawach.

O ile takie represje już nastąpiły, winno się ich stanowczo zrzec, a nawet je cofnąć. Władzy to napewno nie ubliży, ani nie obniży jej powagi, natomiast przyczyni się do uspokojenia i do tego, że dyskusja w sprawach pedagogicznych straci wszelki odcień zaciekłości, a stanie się bardziej przedmiotową. Leży to w interesie obu stron i — społeczeństwa.

Jeszcze jedno: w powyższych uwagach o b. Galicji omawiałem przedewszystkiem te strony jej administracji i szkolnictwa, które mają charakter ujemny. Nie należy stąd wnioskować, żeby nie było wogóle stron dodatnich, niewątpliwie one były. A po drugie: wady, wyżej opisane, nietyle były wynikiem charakteru samychże b. Galicjan(?), ile systemu „austrjackiego“ w ogólności. Wielu autorów już charakteryzowało b. Austrję, jako rezultat polityki Habsburgów, którzy opierali się zawsze na s ł a b o ś c i a c h ludzkich, nie zaś na ich cnotach i zaletach.

Ten system stosowali oni przedewszystkiem w krajach, gdzie nie mieli elementu, na którym mogliby się bezpiecznie oprzeć, a więc jak: np. w prowincjach, oderwanych od Rzeczypospolitej Polskiej czyli w b. Galicji. Element taki starali się stworzyć drogą wyzyskiwania ludzkich słabości (ambicji, karjerowiczostwa, chęci zysku, próżności itp.) Stąd to w b. Galicji było tyle „łask“ cesarskich — nie dla kraju, ale dla poszczególnych osób lub rodzin: ten otrzymał order, tamten tytuł urzędowy lub rodzinny, ów urząd, jeszcze inny jakąś korzyść — a wybrany został dopuszczony na dwór, na bal dworski, zostawał szambelanem, a ów nawet mógł się ożenić z którąś z licznych księżniczek czy arcyksiężniczek habsburskich, o ile któraś z nich lepszej partji zrobić nie mogła. Te mezaljanse znakomicie się Habsburgom opłacały, zyskiwali stronnika we wrogim obozie, mogli wypłacać mniejszy posag, a ukoronowany „homo“ wyobrażał sobie, że samego Pana Boga „za chwist“ złapał...

Te wszystkie strony habsburskiej polityki przyjęli liczni b. Galicjanie — Polacy i oczywiście mimowoli je wnoszą w stosunki polskie. Natrafić na to można w wielu wypadkach w dzisiejszej Polsce. Ale b. Galicja to mniej niż $^1/_3$ całej Polski, świadczyłoby to zatem o wielkim talencie b. Galicjan, a o niedołęstwie Polaków z innych dzielnic, gdyby się metody austrjacko—galicyjskie przyjęły w naszej administracji i w naszem szkolnictwie.

Do walki z byłym systemem galicyjsko-austrjackim powinna przystąpić cała Polska, natomiast b. Galicjan jako ludzi

nie powinno się zwalczać, boć to przecież tak samo Polacy, jak i wszyscy inni. Aby jednak nie kusić ich do identyfikowania się z systemem, z którym przecież są częściowo zrośli, aby ich nie kusić do nadużywania władzy w celu obrony złego systemu, z którym sie niepotrzebnie utożsamiają, należy:

1. walkę prowadzić sumiennie i objektywnie,

2. bezimiennie; jeśli zaś kuratorjum chce, aby wszystko odbywało się jawnie, niech samo da dobry przykład i nie stosuje represyj inaczej, jak tylko ściśle legalnych i dycyplinarnych, oraz na podstawie ujawnionych dokumentów, wyjąwszy te wypadki, w których same strony nie życzą sobie rozgłaszania sprawy. Na to kuratorjum zawsze może mieć dowód.

Bywalec z b. Galicji.

Galicyjskie terefere to jest Wyższa dialektyka

czyli umiejętność rozumowania nieuporządkowanych głów.

Przyszli, miękko usiedli, noga na nogę w trójkąt, nos i broda wprzód i w górę, zaczęli:

Dr. Mędrak: Proszę Pana, mieliśmy mówić o zdolności tworzenia.

Prof. Majaczek: Słusznie, mieliśmy mówić o bezprzytomności natchnienia.

Dr. Mędrak: Tak, proszę pana, ja twierdziłem, że zdolność to chęć, powiedziałbym, pragnienie uzewnętrzniania się, a tworzenie to właśnie owo uzewnętrznianie się. U mnie właśnie tak jest, i stwierdziłem niezbicie u innych także, mógłbym przysiąc. (Tu nastąpił przekonywający gest.) Oto stworzyłem kilka znakomitych dzieł, odznaczonych nagrodą, na kolanie, a to dlatego, że miałem nieprzepartą wolę i nieugaszone pragnienie tworzenia. Tak jest!

Prof. Majaczek: Słusznie pan powiada, zupełnie słusznie, proszę pana, tworzenie to nie uzewnętrznianie się, to zasklepianie się w formie, myśl, ujęta w formie, ginie, a zdolność zostaje, czyli twórczość ginie, a zdolność zostaje, dlatego zupełną panu przyznaję rację, że twórczość to uzewnętrznianie się na wewnątrz w formie, a co do zdolności, to jest to, jak pan słusznie zaznaczył, wrodzony talent, którego żadna chęć, żadna wola zastąpić nie może — i żadne pragnienie.

Gdy ja tworzę, to nie wiem, jak tworzę, a tworzę rzeczy piękne dla siebie i dla ludzi, tworzę w natchnieniu bez niczyjej pomocy, tylko wyobraźnia u mnie żyje, wtedy pragnę i mam wolę. Ludzie podziwiali mnie w Paryżu, gdzie bawiłem piętnaście dni, i wie pan, ja sam siebie samego we własnem tworzeniu podziwiałem we własnem swojem ja.

* *
*

Tak jeszcze długo rozprawiali pp. Mędrak i Majaczek, przywtarzając sobie i mówiąc do siebie, mimo siebie i przeciw sobie, rozkoszując się dźwiękiem słów, dziwną zgodnością poglądów,

przekonani o prawdzie swych przedziwnych rozumowań, o swych zdolnościach, wyższości i powołaniu — wreszcie znużeni, w najlepszej zgodzie wyszli — na dobrą kolacyjkę.

(Zaleca się przeczytać jeszcze raz). Saturnus.

Nasi sympatycy ideowi o Galicjanach.

P. Aleksander Świętochowski na łamach „Gazety Warsz." rozpisuje się o czterech konarach Polaków, które jego zdaniem stanowią jakgdyby cztery odmienne narody.

Oto wyjątki z jego wywodów:

„Odłam narodu polskiego, zabrany przez Rosję, pomimo najdłuższych prześladowań i odnaturzeń zachował swoją rodzimość prawie nieskażoną. Do obecnego życia Polski wnieśli oni silną miłość ojczyzny, czystego ducha polskiego z wszystkiemi jego zaletami i wadami, niezdolność rządzenia, niepodległość prawu, bunt przeciwko wszelkiej władzy.

....Biegunową przeciwległość zajmują Poznańczycy. Bardziej zrównoważeni, mniej wrażliwi, z okiełznaną fantazją, a jasnym rozumem, wyssali oni z kultury niemieckiej wiele pierwiastków dodatnich, których brak charakterowi polskiemu: pracowitość, sprawność ekonomiczną, ład w umysłach i czynach, konsekwencję w postępowaniu, objektywizm i trzeźwość w poglądach, ujmowanie życia z jego praktycznej strony".

„Jeżeli Królewiacy grubym i wysokim murem odgradzali się (?) od wpływów rosyjskich — to Galicjanie otworzyli wszystkie kanały wpływom austrjackim. Tam była walka z obcym rządem, tu zgoda, przyjaźń i miłość, tak zakorzeniona, że dotąd jeszcze nie mogą jej wyrwać ze swego serca zatwardzialsi czciciele kultu habsburskiego".

„Małopolska wlała do nas całą swą zaustrjaczoną inteligencję i jest dotąd rozsadnikiem, z którego czerpią się mali i wielcy urzędnicy dla niskich i wysokich stanowisk..... Ten ludek zmajoryzowanych biurokratów, ci marzyciele, tęskniący wiecznie do posad i tytułów, gotów do wszystkiego (!) i zdolny do niczego — głownie przyczynia się u nas do niedołężnego, zagmatwanego i przewlokłego załatwiania spraw".

W takim mniej więcej tonie pisze dużo jeszcze p. Świętochowski, aby, wystąpić z następującą radą:

„Każdy z tych narodów (?) winien zostać zużytkowany według swych uzdolnień i właściwości. Polaków z Królestwa powołać na stanowiska urzędowe w dziedzinie oświaty, kultury i spraw zagranicznych (?) — Poznańczykom powierzonoby administrację, Amerykanom — przemysł i handel, Galicjanom — rolnictwo i hodowlę zwierząt gospodarczych itd...."

(Gazeta Poznańska nr. 55—1923 r.)

Karjerowiczom ubiegłego okresu poświęca swą kartkę ulotną w „Kurjerze Warszawskim" pos. Rabski:

„W chwili, gdy trzeba było na gwałt organizować Polskę i zapychać tysiące dziur w różnych urzędach, angielskie przysłowie „o właściwym człowieku na właściwym miejscu" było istotnie trudne do realizacji. Margaryna musiała nieraz zastąpić masło, a łojówka lampę elektryczną.

Korzystało oczywiście mnóstwo darmozjadów, aby niby argonauci po złote runo urządzić do Warszawy wyprawy po mniej lub więcej tłuste posady. Utarło się nawet w początkach naszej państwowości przysłowie, że ‚‚kto był w Galicji cymbałem, tego w stolicy robią kapelmistrzem". Kraków się wprawdzie irytował na protesty prasy warszawskiej przeciw „argonautom galicyjskim", ale w głębi duszy był podobno bardzo zadowolony, że sobie oczyścił swoje „planty" i swoją linję „A—B", wywożąc wszelakie nieużytki całemi wagonami do Warszawy.

Połowę „nowych ludzi" mianowano z musu członkami różnych ministerjów, ambasad, sztabów, propagand i Bóg wie jakich urzędów, ale drugą

połowę awansowano jedynie dlatego, że była trabantem kliki wpływowej, choć o te same stanowiska ubiegali się niejednokrotnie ludzie o kwalifikacjach zgoła pierwszorzędnych. Wielu specjalistów zdolnych zmarnowało się wtedy, bo trzeba było miejce zrobić dla peowiaków lub swoich ludzi. A gdy partyjność była zbyt widoczna i krzycząca, usprawiedliwiało się wybór enkaenisty takim np. frazesem że „ci z Krakowa mają, pomimo wszystko, instynkt służby państwowej“. Gdy zaś wybrańcem nepotystów był jaki belwederczyk, centralista, socjalista z Warszawy, wtedy... no! wtedy nic się nie mówiło, tylko patrzało z podełba, jakby się chciało powiedzieć: „wiemy, co robimy“.

Od owych czasów trochę się już w Polsce zmieniło. Trochę się już przewietrzyło biura, trochę się już młodych i starych lisów z nor powykurzało, trochę się ograniczyło hałastrę komiwojażerów z dyplomatycznemi paszportami, trochę się zmniejszyło legjon synekurzystów rządowych i trochę trutniów zastąpiło się pszczołami pożytecznemi.

Ale w ostatnich miesiącach znowu coś niedobrego się dzieje. Jakby zaniosło się na recydywę starej choroby. Słychać, że niektóre stronnictwa wyzyskują chwilę pełną zamętu, intryg zakulisowych, zaczajonych niespodzianek i rządów bez większości, aby wymanewrować najtęższych ludzi, usunąć najlepszych urzędników, dlatego tylko, że są za mało czerwoni, że stoją na straży prawa i unikają partyjnej szykany, że nie chcą zrozumieć „półurzędowych“, t. j. szeptanych lub mruganych sugestyj...

O przekupniach, pochlebcach, karjerowiczach, zaprzedańcach i sprzedawczykach idei.

. . . .
Za pieniądze lud się podli. (Przysłowie)

Pięć pięknie brzmiących synonimów w tytule!

Możnaby o nich napisać całą rozprawę, szkoda jednak czasu i żółci, której zbyt mało posiadamy, by ją lekkomyślnie trwonić

Warto im jednak wycisnąć na czole żółte znamię — by ich poznano wśród ludu czci i honoru!

Przypominam, jak to za pruskich czasów sławny i poczytny „Pokraka“ piętnował sprzedawczyków. Zapomniał tylko wtedy piętnować podlizywaczy, co we Wschowie czy Pleszewie tylko z Niemcami bratali swą nędzną kreaturę, mając w wysokiej cenie siłę niemczyzny, a za nic rycerskie serce Polaka.

O, my pamiętamy! Grzechy niezapomniane! Ale można je było zmazać!

Dziś mamy czasy galicyjskie — i widzimy ten sam objaw: oto są dziwolągi, co za cenę intratnej posadki lub egzaminu czy to w Poznaniu, czy też w Rogoźnie sprzedać gotowi nietylko ziemię, ale swoje ideały.

W Krakowie Galicjanie-Polacy sprzedają się żydkom, w Poznaniu (wprawdzie rzadziej), czy też w Rogoźnie Wielkopolanie — Galicjanom.

Co to są za ludzie ci sprzedawczycy?

O, to są wielcy ludzie, poczciwy Czytelniku, to są ludzie o szerokim geście, samodzielni, o wielkiej przyszłości na wysokim stolcu; rozum mają chłodny, co ich chroni od bólu

głowy, serce wyschłe, co im zaoszczędza wyrzutów sumienia, a w dodatku rozum ich niezwykły i ogromnie jasny, więc wlecze się za nimi nieodstępny cień, krok ich pokraczny, nierówny, idą, licząc: miljon, dwa. trzy miljony, a idą, marząc: dyrektura, fotele klubowe, piękne zastawy, szynka, torty i winko, idą, a kolana im się trochę przyginają — i karczek, powiedziałby o nich Szekspir:

'niech się kolan gną zawiasy giętkie,
gdzie za łaszeniem idzie zysk.

O nie, mistrzu angielski, niezawsze się łaszą, czasami rzucają się jak lwy (bez ogona), to ludzie ideału, to ludzie honoru, to wielcy ludzie, bohaterowie, oni inaczej myślą, wyżej sięgają, niż głupi tłum, w przystępie wzniosłych wzruszeń modlą się:

Panie, chleb, którym nas darzysz jest słodki, życie, którego pragniemy, jest miękkie, dzięki Ci, żeś stworzył szalonych idealistów, bo rozum nasz tuczy się ich szaleństem — jesteś wielki, Panie!

Tak się modlą — a potem śpiąc, chrapią — budzą się, a oto sława ich czeka za życia, sława, władza i urząd, a na urzędzie słońce świeci, ogród pachnie.... O, jak piękne to życie! Brudni to ludzie, co gonią za ideałem, ten piękny świat chcą zmienić, Stwórcę poprawiać... wstrętni ludzie... trzeba się szanować!

Tak rozmawia z sobą sprzedawczyk szczęśliwy, pełen nadziei. Tylko że niewiadomo, jaki urząd wyznaczy mu Lucyfer lub Belzebub na drugim świecie. Bo to nie żarty, chociaż w XX wieku już Belzebub nie żyje!

A jeszcze maleńki upominek na drogę.

„Kto lisią sztuką swój urząd zdobędzie,
Ten pewno jak wilk urzędować będzie.“ (Fr. Morawski).

Kamulus.

Sielanka galicyjska.

(Co swoje, to swoje).

(Od Redakcji: Naprawdę, żal i litość wzbiera w sercu nad fizyczną i duchową nędzą naszego ludu, ale dziwić się należy, że ci, co ludem tym zająć się powinni byli przed i po wojnie, przyszli rządzić i szerzyć kulturę w Wielkopolsce, gdzie podobnego stanu nie znajdziesz u najlichszych biedaków).

Oto obrazek kulturalny wsi małopolskiej:

W czasie między 2 a 15 stycznia 1921 roku odbyłem wizytę duszpasterską, to jest kolendę po całej parafji. Wizyta ta nie odbywała się już blisko 12 lat (jestem w parafji dopiero 2 lata). Zwiedziłem wszystkie, nawet najdalsze i najmniej przystępne zakątki parafji. Trudności było niemało z powodu pory zimowej i górzystego terenu Szczególnie trudny dostęp miały osiedla na stromych zboczach i ścianach parowów. Nie opuściłem jednak ani jednej chałupki. Wizytę tę odbywałem, wędrując pieszo wśród śniegów i zawiei i przy kilkunastu stopniach mrozu. Było dość domów i rodzin, można powiedzieć 68% (parafja liczy 328 rodzin, a w nich 1843 dusz), które pojęły kolendę jako uroczystość domową i postarały się, by domy ich przybrały odświętny wygląd. A ciężka to była sprawa, by domy te nie bielone, nie wymiecione przez cały czas wojny, jako tako ogarnąć

z brudu, śmiecia i pajęczyny. Dla tej to przyczyny przeszło jedna trzecia domów nawet mimo kolendy nie mogła rozstać się z swym wyglądem stajennym. Blisko bowiem 40% domów w parafji mieści w sobie stajnię jako część składową, przedpokój, a około 50 domów jest zarazem stajnią i mieszkaniem. Nieraz łóżko, rete prycza stoi wprost na gnoju, a większość familij chowa się i mieszka razem z bydlętami w przedpokoju. W piętnasu domach nie znalazłem wcale święconej wody, mimo iż ją święcę w każdą niedzielę i każdy parafjanin może jej sobie nabrać z kościoła, ile chce. Z bliższej rozmowy z mieszkańcami tych domów poznałem, że nie chodzą oni wcale do kościoła. Ludzie ci mieli wygląd Negrów z środkowej Afryki lub Papuasów polinezyjskich. Tchnące brudem i smrodem t. zw. mieszkania mieściły nawet po t. zw. „porządniejszych" domach parę prycz obszernych z garścią barłogu, w większej ilości wypadków nie przykrytego niczem lub też tylko kupą gałganów, albo od lat nie pranem prześcieradłem. Kompletną pościel znalazłem w jakich 10% domów. Pościel taka zawarowaną była jeno dla starszych. Zauważyłem, że w bardzo wielu domach (25%) jest ulubioną specjalnością wysiadywanie na piecu z nogami w popiele. Tak oczekują południa czy wieczora, inaczej obiadu czy wieczerzy, bo jada się przeważnie tylko dwa razy na dzień — w 15 wypadkach raz tylko na dzień — kartofle z żurem, bardzo często nieosolone. Ubranie i odzież w bardzo lichym stanie licho okrywa ziemską powłokę; szczególnie daje się odczuwać brak obuwia. To też większa część domowników upornie siedzi w szczelnie zamkniętym domu, w którym odór gotowanej strawy, zmieszany z odorami sąsiedniej stajni i nagromadzonego po kątach prowiantu w formie główek kapusty, karpieli i kartofli, wyrzuca świeżo przybyłego za drzwi, a przedewszystkiem sprawia, że twarz mieszkańca takich domów, zwłaszcza dziatwy, żółknieje i czernieje, nieodświeżana powietrzem i wodą. Myliłby się bowiem bardzo, ktoby sądził, że mieszkańcy tutejszych okolic, rozmieszczonych nad potężną rzeką, są przyjaciółmi wody. W jednej ze szkół w miesiącu czerwcu spotkałem na 73 dzieci 22 tak na twarzy i rękach obrośniętych brudem, że przez trzy środy musieli się zmywać z tego brudu na raty. Rodzice w domu w niczem im do tego nie pomogli, bo sami nieraz zapominają sobie napluć w twarz i obetrzeć oczy, co stanowi ranne obmycie się.

Takie warunki hygjeniczne nie przyczyniają się bynajmniej do pomyślnego rozwoju fizycznego parafjan, a w skarlałem, okaleczałem, czy schorzałem ciele ciężko doszukać się czegoś, coby przypominało myślącą, choćby nieco suwerennym wymogom odpowiadającą duszę ludzką. Bejdok, inaczej matołek tutejszy, co najwyżej obróci oczyma, o ile go na to zbierze ochota, zaskrzeczy, o ile sobie pojadł i oto jego wszystkie funkcje ludzkie. Matołków takich naliczyłem w parafji 65. W wielu wypadkach wydobywałem te istoty zagrzebane w stajniach. Są domy, gdzie ich jest po troje i czworo. Biorę pod uwagę tylko indywidua po nad lat 6, bo niżej tych lat stanu umysłowego niejednego osobnika osądzić nie można — 75% tych matołków to ofiary wychowania, o którem matki nie mają żadnego pojęcia, a jeszcze mniej ojcowie: „Spadł z okna do piwnicy; upadł na podłogę z łóżka; tatuś go trzepnęli po głowinie, aż się mu rozlazła; zakrzyczało się na polu przy kopaniu; świnia go potargała, jak my pośli na jarmark". Oto objaśnienia powodów bejdokostwa, opowiadane bez żadnej żenady; niepoślednią przyczyną było także nadużywanie gorzałki, którą się bardzo ludzie zalewać zwykli, a zwłaszcza parturientes. W jednej z gmin, należących do parafji, urząd gminny i sala posiedzeń rady gminnej mieściły się w karczmie. Dopiero objęcie przez jednego z moich poprzedników godności pisarza gminnego kres położyło tym haniebnym stosunkom. Tak było w mojej parafji przed laty 15-tu. A dziś w sąsiedniej parafji wójt jest szynkarzem i oczywiście w karczmie odbywają się posiedzenia rady gminnej; sławną jest ta karczma z wieców ludowych i pijatyk na całą okolicę.

Nawiasem nadmienię, że w innej parafji, do której przyjechałem na odpust, zobaczyłem karczmę „pod Opatrznością Boską" a potężne oko tej „Opatrzności" zdobiło werandę tejże karczmy. Opowiadał mi też jeden z kapłanów, że w czasie wizytacji biskupiej jeden z przybyłych na audjencję wójtów na zapytanie, czy mają jakie życzenia, zwrócił się do X. Bpa z prośbą, by poparł prośbę jego zięcia o koncesję na szynk, bo ciągle mu tę prośbę odrzucają w starostwie, województwie i t. d.

Co do stanu religijnego i obyczajowego, nie wiele on lepiej się przedstawia od fizyczuego i hygjenicznego. Ignorancja nawet odnośnie do zasad wiary koniecznych „koniecznością środka“ tak wielka, że włosy na głowie stają. Połowa dziatwy i młodzieży nawet pacierza codziennego nie umie lub bardzo licho· Nikt się tem jednak w domu nie przejmnje, a najmniej rodzice, a odnośnie do służby gospodarze. Spotkałem siedem domów, których mieszkańcy prowadzą procesy ze sobą; wszelkie wysiłki moje, by ich pojednać, na marne poszły; zawziętość okazała się głuchą na wszystko. Chorobami wenerycznemi dotkniętych coś dziesięć osób, zarazę tę zaszczepił jakiś przybysz, który tu się ożenił. Jedne dożynki uszczęśliwiły tą chorobą coś sześć osób (4 dziewczęta).

Gdy chodziłem po kolendzie, byli w domach wszyscy ich mieszkańcy prawie wszędzie; zachowali się przykładnie i grzecznie. Nawet jeden z wójtów, oddawna śmiertelny wróg księży, nagwarzył się ze mną z pół godziny; to mu jednak nie przeszkodziło mię zaraz po mem odejściu oszkalować do starostwa w raporcie w sprawie komitetu parafjalnego. — Nie czytają ci ludzie nic. Książki do czytania znalazłem tam tylko w 4 domach. Cechuje ich okrutny wstręt pracy Oto niejeden żalił się, że już od miesiąca pożycza na wikt i że już nie ma nic do jedzenia, a mówił świętą prawdę, bo jak się naocznie przekonałem, pustkami świeciły zasieki; a jednak do roboty, np do sągów w sąsiednich lasach, czy też do młocki nie poszedł i nie pójdzie, bo, jak powiada, mało płacą (800 Mkp. dnia 15/1 1922). Lubią się włóczyć po targach czy jarmarkach nawet w najgorszy czas pod względem pogody. Podczas tej wędrówki duszpasterskiej, trwającej osiem dni przyjęto mnie gościnnie w siedmiu domach. Podano po garnuszku mleka lub herbaty z kawałkiem chleba lub placka, a w jednym domu podano kawałek suchej kiełbasy z jeszcze suchszym kawałkiem chleba bez herbaty.

Kolendę tę zakończyłem sprawozdaniem z niej wygłoszonem zamiast kazania w najbliższą niedzielę. Zdumieli się sami słuchacze, dziwując się swej niedoli, nieporadności i swemu zacofaniu. Z wielu oczu polały się łzy gorące, gdym sprawozdanie to zakończył słowy: „Żal mi ludu tego“, żal mi cię, ludu mój, że przeżywać musisz czasy, w których robią cię suwerenem, a nikt nie myśli cię podnieść z gnoju i barłogu, ciemnoty i zbydlęcenia; owszem poniewiera się i prześladuje nieubłaganie tych, którzy cię pragną do Boga zbliżyć a uszczęśliwiając duszę i ciału twemu dopomóc“. (C. d. n.) X. F. H.

(„Gaz. Kościelna“, Lwów, 16. III. 1923 r.)

(Czy nie „wartałoby“ przedewszystkiem zaprowadzić porządku u siebie, zamiast rzekomego porządku alias zamętu w „zacofanej“ Wielkopolsce? Red.)

Wiadomości bieżące.

Wymowna statystyka.

W nr 5 „Trąby Jer“ przedwojenni czytelnicy prosili redakcję „Kurjera Poznańskiego“ o podanie swej statystyki personalnej. Odpowiedzi nie było.

Jesteśmy jednak dzięki „Gaz. Poznańskiej“ z dn. 28· III. b. r. w możności podać stosunek statystyczny w przybliżeniu: oto w redakcji „Kurjera Poznańskiego“ jest na kilkunastu redaktorów zaledwie 2 Wielkopolan na stanowiskach podrzędnych.

Czy taki skład redakcji „Kurjera Pozn.“ może stanowić prawdziwą opinję wielkopolską?

Czyżby już rugi Pomorzan?

W Kuratorjum w Toruniu zawieszono w czynnościach p. Dr. Żegarskiego. Wystarczy powiedzieć, że p. Dr Żegarski jest Pomorzaninem i dzielnym fachowcem. System... górą!

* *
*

Na krańcach prawdy i humoru.

Co kraj to obyczaj.

W Anglji: It is a governement of the people, by the people, for the people.
(Przekład dla Galicjan: Rząd z ludu, przez lud i dla ludu.)

W Polsce: It is a governement of the Galicians, by the Galicians, for the Galicians.
(Przekład dla jeszcze naiwnych: Rząd z Galicji, przez Galicję i dla Galicji)

Na wyścigi do Poznania.

Kraków, Linja A—B, godzina 8 wieczór.

Andrus: Servus, bracie, wyjeżdżam do Poznania.

Kozik: A, to wspaniale, jedziemy razem, jutro szósta rano.

Poznań—Województwo (Andrus puka do drzwi referenta, otwiera i — o zgrozo, widzi Kozika)

Andrus: Servus, a to co?!!

Kozik: Ano, jestem już referentem, przyjechałem wcześniej, dzisiaj rano zostałem referentem, moja siostra sekretarką, rzeczy moje nadejdą w liście poleconym, willa w Sołaczu dla mnie zarezerwowana.

Andrus (szeptem): Panie radco, a tu obok fotel zajęty?...

Od Redakcji.

Redakcja donosi Szanownym Czytelnikom, że od nowego roku szkolnego zamierza miesięcznik „TRĄBĘ JERYCHOŃSKĄ" wydawać jako tygodnik, żywiąc nadzieję, że i w przyszłości dozna tego samego poparcia, co dotychczas.

Przedpłata z przesyłką za nr. 7, 8 i 9 marek 4000.

Wszelkie zamówienia uprasza się skierowywać do biura eksped.
Wpłata na pocztowe konto czekowe nr. 204637.

REDAKTOR: IGNACY EICHSTAEDT, ULICA MATEJKI NR. 67
ADRES ADMINISTRACJI: DR. ZYGMUNT SZYMAŃSKI, KRASZEWSKIEGO 4
BIURO EKSPEDYCJI: POZNAŃ, ULICA MURNA NR. 2

Czcionkami Drukarni Mieszczańskiej Tow. Akc. w Poznaniu.